

TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 13. **Poznań, dnia 26 marca 1870.** **Rok II.**

Od Redakcyi.

Przy nadchodzącym drugim kwartale, upraszamy Szanownych abonentów S o b ó t k i o odnowienie przedpłaty na kwartał przyszły i życzliwe popieranie naszego pisma.

Milion na poddaszu,

Obrazek z niedawnéj przeszłości

przez

Jana Zacharjasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

Dama nim mówić zaczęła, położyła najprzód drobną rączkę swoją na ręce Podkomorzyca. Po tym wstępie zaczęły się słowa. Dama wymówiła te słowa z wrodzoną sobie żywością. Podkomorzyc słuchał trochę znudzony i zdawało się, że miał wielką ochotę porzucić kanapkę i przenieść się w najodleglejszy kąt salonu, gdzieby z nikiem nie potrzebował mówić, nikogo nie słuchać...

Po niejakim czasie zaczęła się twarz jego ożywiać. Ożywienie to jednak nie było wewnętrznem zadowoleniem, bo objawiało się tylko ironicznym i szyderskim wyrazem twarzy. Żywość damy wzmagała się co raz więcéj, jéj gesta stawały się co raz szybsze...

Tak upłynęło pół godziny. Gestykulacya damy zaczęła wolnieć, jéj słowa padały co raz skąpiéj, a cała jéj postać przechodziła w jakiś dziwny, omdlewający spokój, w jakąś rzewną apatyę... Jéj ruchliwe kształty układały się powoli w cichy, kamienny posąg... W końcu tyle tylko było widać na niéj ruchu, ile potrzeba było do uzupełnienia malowniczéj pozy...

Wkrótce siedziała na czerwonéj kanapce jak piękna, marmurowa statua z prześliczną draperyą...

W miarę jéj kamienienia, począł się spokojny posąg podkomorzyca co raz więcéj ożywiać. Wyraz ironiczny na jego twarzy, zacierał się powoli, oczy błyskały co raz silniéj światłem — dama coraz więcéj przechodziła w kamień!

W tych ciekawych studyach przeszkodził podczaszycowi jakiś znajomy. Podczaszyc zgrzytnął zębami i uśmiechnął się słodko do znajomego. Obawiając się jakiéj najobojętniejszéj w świecie rozmowy, zwrócił zaraz ją na przedmiot, który go zajmował.

— Patrz pan, co za przecudna sielanka na czerwonéj kanapie! rzekł do znajomego, wskazując oczami na podkomorzyca.

— Patrzałem już na tę sielankę, odparł znajomy, i dla tego przychodzę do pana, bo widziałem że i pan obserwujesz...

— Ciekawy jestem, coś pan w téj sielance obaczył?... Czy Doryda, czy Alcimadura?

— P a r b l e u! Któżby śmiał pułkownikową porównać z Alcimadurą? Nie była nią jak miała lat szesnaście, nie będzie nią przecież gdy czterydziesty krzyżyk wlazł na plecy... Ale jak się ta kobieta dobrze trzyma! Wcale jeszcze nie źle wygląda!

— Wieczorem... przyznaję, ale w dzień widać, że

nielitościwy ząb czasu wiele tam pokąsał, czego nawet bielidło nie zakryje...

— Tylko widać zawiodło ją dzisiaj przeczucie! Złe miejsce sobie obrała.. lepiéj było trzymać się starego generała...

— Dla czegoż mówisz pan, że złe miejsce wybrała? Czy miejsce obok podkomorzyca nazywasz pan złem?

— O tyle złe, że nie odniesie tam żadnego skutku. Tam nie ma dla niéj zdobyczy!

— Czy sądzisz pan... ze ten milion stoi na przeszkodzie? Cette baguatelle d'un million?...

— Miliona nie znam i nic jeszcze o nim nie wiem, ale to wiem, że podkomorzyc pułkownikowéj nie cierpi! Mówię panu, że on wolałby w téj chwili łoże madajowe, niżeli tę aksamitną, czerwoną kanapkę...

Jakiś cień przebiegł po twarzy podczaszyca. Spojrzał na kanapkę, pomyślał chwilę i odparł.

— Pułkownikowa nie jest wcale szpetna kobieta. Podobać się zawsze może. A zresztą zdaje mi się, że między niemi...

— Między niemi przed kilkoma laty było tam jakieś zbliżenie... ale to wszystko urwało się nawet z pewnym skandalem!

— On revient à ces premiers amours! zauważył z uśmiechem podczaszyc.

— Ba, odparł towarzysz, gdyby to była pierwsza miłość!... Ale gdzie codzień innych miało się rywali...

— Kobieta sprytna wszystkiego dokaże! szepnął podczaszyc, bo w téj chwili zaproszono gości na wieczerzę.

Pułkownikowa podniosła się — Podkomorzyc podał jéj rękę. Podczaszyc w niejakiem oddaleniu postępował za niemi.

Zrazu nie pewnem było, gdzie pułkownikowa usiądzie. Zdawało się, że miała ochotę rozłączyć się ze swoim towarzyszem. Zawinęła się pomiędzy kobiety, przymówiła kilka słów do staréj starościny, zaczepiła pannę Alinę, przy któréj stał Hektor. O dawnego swego towarzysza z kanapki czerwonéj wcale się nie troszczyła. Ani razu nie obejrzała się za nią. Twarz miała spokojną a nawet wesołą. Z jakąś młodą mężatką zamieniła kilka spojrzeń nader wymownych i słodko się uśmiechnęła.

Podkomorzyc jak cień posuwał się za nią z tyłu. Przy każdem próżnem krześle stawał, jakby chciał przy niéj usiąść. Pułkownikowa mijała jedno krzesło po drugiem, jakby naumyślnie chciała zgubić swego towarzysza. Ten jednak nie był dzisiaj do zgubienia. Przesuwał się zręcznie pomiędzy szerokiemi spodnicami, omijał w drodze stojące krzesła i zawsze był blisko pułkownikowéj. Nawet kilka pań, które do niego przemówiły, nie mogły go przytrzymać. Odpowiedział krótko, uśmiechnął się i poszedł daléj. Nawet z panną Aliną, która widocznie coś mu powiedzieć chc'ała, sprawił się tak krótko, że to najbliższych sąsiadów zadziwiło. Alina strzeliła za nim rozgniewanem okiem, co jednak Hektora bynajmniéj nie gniewało.

Wszystko to uważał dobrze podczaszyc. Na twarzy jego było widać zadowolenie.

Wreszcie stanęła pułkownikowa przy jednem próżnem krześle. Bokiem spojrzała na lewo i usiadła. Przy niéj usiadł podkomorzyc. Pułkownikowa przyjęła to obojętnie, przemówiła kilka słów do niego i zwróciła się na prawo.

Podczaszyc usiadł na przeciwko, gdzie go zasłaniały kandelabry. Z tego zakrytego stanowiska patrzał z uwagą na siedzącą naprzeciwko parę. Zdaje się, że widok téj pary mocno go zajmował, bo nic nie pił i nic nie jadł.

Podczas wieczerzy kilka razy usiłował podkomorzyc zawiązać dłuższą rozmowę z swoją sąsiadką, ale nigdy się mu to nie udało. Albo sąsiad z prawéj strony przeszkodził temu, którego pułkownikowa ciągle do rozmowy wzywała, albo sama znalazła sposobność odwrócenia swojéj uwagi na co innego.

Podkomorzyc widocznie był teraz zagrożony. Także nic nie jadł i nic nie pił. Zamyślał się często, a gdy go kto zapytał o co, to podobny był do tego, co się dopiero ze snu budzi. Odpowiedzi dawał krótkie z widoczną niechęcią.

To trwało przez całą wieczerzę. Po wieczerzy wzięła pułkownikowa starościnę pod rękę i już się więcéj nie rozdzieliły. Podkomorzyc robił co mógł, aby znowu pułkownikowę na czerwoną kanapkę zaprosić, ale to mu się już nieudało. Na cały wieczór była dla niego pułkownikowa stracona. Podkomorzyc widocznie zły chodził sam jeden po salonie.

Wreszcie zaczęli się goście rozjeżdżać. Za nią pospieszył podkomorzyc. Podał jéj białe futro, odprowadził aż do karety, przy karecie jeszcze coś mówił... i z czołem zmarszczonem wrócił do salonu. Podczaszyc ustawicznie patrzał na niego, i uśmiechał się z zadowoleniem.

Po krótkiéj chwili cichaczem wymknął się Podkomorzyc z salonu, zarzucił płaszcz na siebie i wyszedł.

Podczaszyc nie poszedł zaraz za nim. Dopiero za pół godziny opuścił towarzystwo.

Przeszedł Krakowskie Przedmieście i koło kolumny Zygmunta skierował kroki na ulicę Miodową. Przy trzeciéj kamienicy zatrzymał się i spojrzał z uwagą na okna pierwszego piętra.

Trzy okna były oświecone dosyć jasno, dwa inne migały słabem, różowem światłem.

Podczaszyc zatarł ręce i zanucił sobie półgłosem jakąś wesołą aryjkę.

XXIV.

Pułkownikowa, pod któréj oknami stał właśnie podczaszyc, należała do rzędu kobiet tylekroć opisywanych, a nigdy jeszcze dostatecznie nie zgłębionych. Bywały chwile, gdzieby każdy przysiągł, że to anioł wcielony, ale ten anioł w okamgnieniu zmieniał się w jakąś brzydką poczwarę, z któréj przechodził stopniowo w istnego szatana.

Historya téj kobiety była dosyć długa i pełna rzeczy pięknych, pomieszanych z zwykłemi skandalami.

Dwa razy była zamężna. Raz za jakimś obywatelem miejskim, drugi raz niby za pułkownikiem, którego złośliwe języki za myt poczytywali. To jednak było pewnem, że żadnemu z nich zaprzysiężonych obowiązków nie dotrzymywała. A byli nawet i tacy, którzy utrzy-

mywali, że bogata wdówka dla tego tylko zamąż chce się wydać, aby mieć sposobność spożywanie zakazanych owoców, których bez sakramentu nie ma!

Mówiono, że ten szczególniejszy apetyt do zakazanych owoców wpędziły w grób pierwszego męża, który w żaden sposób nie mógł zgodzić się na jéj teoryę serca, która szczęściu małżeńskiemu nic szkodzić nie powinna.

Pozbywszy się niezdarnego hreczkosieja, który nie stał na wysokości jéj wyobraźni, wybrała sobie człowieka, który sam nabroiwszy wiele, był na stare lata dla innych wielce pobłażliwym. Ta pobłażliwość jednak była dla niéj istną karą, bo odbierała najdrastyczniejszym sytuacyom życia, cały ich urok.

Stary pułkownik bowiem, gdy widział, że jego obeobecność komuś trzeciemu zawadzać może, spokojnie zapalał fajkę i wychodził na świeże powietrze, lub na arcaby do generała. Wróciwszy o nic nie pytał, i nikomu nic nie wyrzucał.

Ten spokój męża, brak wszelkiéj podejrzliwości, i ta nadzwyczaj subtelna wyrozumiałość zabijały żonę. Ona chciała dręczyć się trwogą i obawą, chciała drzeć o każdą wykradzioną chwilkę wzbronionego szczęścia — chciała okazać innym wielkość swojéj ofiary i gwałtowność porywającego ją uczucia... a na to wszystko nie było żadnéj miary.

Mąż się za nic nie gniewał, o niczem nie chciał wiedzieć, na nic nie chciał patrzyć Owoc zakazany tracił swój najlepszy przymiot, przez który jedynie powabnym się staje. A tu nikt go nie zakazywał, wolno było zrywać go całemi garściami i jeść co się tylko podoba. Sytuacya drastyczna straciła swoją drastyczność.

W bitwie pod Lipskiem poległ pułkownik, a gdy go po śmierci obaczyła (a była wtedy w towarzystwie porucznika) widziała go tak spokojnym i pobłażliwym, jakim był za życia! Nawet się na nią nie skrzywił!

Uwolniona z ślubów sakramentalnych, przyjechała wdowa do stolicy w widocznym zamiarze, wydania się po raz trzeci. Nawet tego bynajmniéj nie ukrywała i przy każdéj sposobności otwarcie chęć swoją wyjawiała. Różni jednak epuzerowie omijali ją zdaleka, bo na ucho opowiadano sobie jeszcze z czasów apatycznego męża niebezpieczne rzeczy.

Mówiono, kiedy spokój i pobłażliwość nieboszczyka do najwyższego stopnia przyszła, żądna wrażeń i silnych wzruszeń, pułkownikowa stworzyła sobie stucznie poza granicami domowemi zbyt drastyczne sytuacye.

I tak, nie mogąc męża do zasłużonéj zazdrości pobudzić, wzbudziła ją między dwoma adoratorami. Prowadziła naumyślnie rzeczy w ten sposób, że jeden drugiego wyzwał i trupem położył. Wtedy miała wyborny powód do płaczu, i spazmów, ubrała się w kolor czarny, chodziła co drugi dzień na grób poległego i ubierała go w najpiękniejsze wianki. W téj epoce żalu, kazała nawet portret swój wymalować, na którym figurowała jak Niobe z rozpuszczonemi włosami.

Miały to być najpiękniejsze chwile jéj życia. Od świata oddzielał ją grób, z poza tego grobu, w którym mieściło się wszystko, co miała najdroższego w życiu (i wierzyła w to) patrzała smutno przez łzy na świat ponętny i ruszała melancholijnie głową, że za jego ponętami nie pójdzie, bo grób ją przedziela...

Znalazł się nowy bahater, który tego grobu się nie uląkł, śmiało nogą na piersiach nieboszczyka stanął i o serce prosił... Pułkownikowa wskazała na grób, mówiła jak wielką jest ofiara, którąby światu przynieść miała... i wzbiła się wreszcie do wysokości téj ofiary — i upadła w ramiona nowego adoratora!...

Jakże mocno po takiéj ofierze biło jéj serce... jakże trwożliwie oglądała się poza siebie, czy nie obaczy cienia zabitego nieboszczyka, któremu wierność do końca życia poprzysięgła... jakże drogą była każda z takich chwil, zdobytych łzami, rozpaczą, trwogą i wyrzutami sumienia?...

Dzisiaj miała pułkownikowa lat czterydzieści, ale się do nich nie przyznawała. Była wzrostu niskiego i nadzwyczaj żywego temperamentu. Miała oczy piwne które ustawicznie w około biegały. W tualecie używała wiele sztuki i znała doskonale wszystkie jéj tajemnice Twarz jéj była zawsze mocno wybielona.

Po obu mężach odziedziczyła znaczne fortuny i uważano ją za bogatą. Dotąd jednak nie mogła znaleść trzeciego człowieka, któregoby ręką swoją mogła uszczęśliwić. — Zdaje się, że marzyła o podkomorzycu....

XXV.

Gdy pułkownikowa od wojewodziny do domu przyjechała, wszedł zaraz do jéj buduaru służący i zapowiedział pana podkomorzyca. Uśmiechnęła się, kazała w salonie kandelabry zaświecić i podkomorzyca zaprosić.

Podkomorzyc miał twarz ponurą i wejrzenie niespokojne. Skłonił się spokojnie i sztywnie.

— Byłam pewną, że pan przyjdzie do mnie, rzekła do niego z uśmiechem, wyciągając drobną rączkę.

— Przyznam się pani, odparł podkomorzyc, że na kilka minut przed tą chwilą byłem pewny, że nie przyjdę!

— Cóż tak zachwiało postanowienie pana? zapytała i okazała rząd najpiękniejszych ząbków, czy jakie wspomnienie?...

— Przeciwnie, każde wspomnienie sprawiało odmienny skutek, szorstko odparł podkomorzyc.

Pułkownikowa na to nic nie odpowiedziała, tylko utopiła w oczach podkomorzyca długie powtórzyste wejrzenie...

Podkomorzyc stał jak posąg. Spojrzenie głębokie nie sprawiło najmniejszego skutku.

Pułkownikowa w okamgnieniu z kobiety salonowéj, pewnéj siebie przemieniła się w łagodnego, lękliwego baranka. Skubiąc koniec szalu z nieśmiałością jak dziewczynka dziesięcioletnia, ozwała się ze spuszczonem oczyma:

— Jeśli tak... to może pożegnamy się... Dobranoc panu...

Ostatnie słowa były wymówione po mistrzowsku Nie żegnały one, ale gwałtem przyciągały...

Ale i na to nie czuły był podkomorzyc. Odgarnął włosy z czoła i odparł:

— Pani wiesz dobrze, że jakkolwiek trudno mi było przyjść do pani, to odejść jest mi jeszcze trudniéj... Pani powinnaś była narodzić się hijeną, a nie kobietą!...

Czyż to godziło się powiedzieć mi takie rzeczy bez bliższego wyjaśnienia?

Z lękliwego baranka przeszła pułkownikowa w miłą koteczkę. Przydłużyła swoje piwne oczki słodkim uśmiechem, położyła swoją rączkę na ramieniu podkomorzyca i rzekła bez najmniejszego gniewu:

— Ponieważ pan nie lękałeś się wnijść do jaskini hijeny — a chociaż tylko prosta ciekawość tu cię przywiodła... toś zawsze pan zasłużył, abyś zamiast hijeny obaczył — anioła! Siadaj pan!

Rzekłszy to frunęła jak ptak od niego i znikła w drugim pokoju, oświeconym bladém, różowém światłem.

Podkomorzyc odłożył kapelusz i usiadł na fotelu. Był on dzisiaj w wyjątkowem usposobieniu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Konie z nad Donu.

(Z ryciną.)

Wedłng statystyki z r. 1867 liczba koni w Rosyi, nie rachując w to Polski, wynosi przeszło 15 milionów. Wielkość terytoryalnéj przestrzeni a ztąd rożne warunki klimatyczne, dzieli je na wiele ras, zupełnie z sobą niemających pokrewieństwa.

Wspomnimy tu tylko rasę azyatycką koni karabagskich, bitugskich, finlanckich, kaukazkich i rasę najwięcéj cenną ze stajni hr. Orłowa, tak zwanych rysaków.

Przedstawione konie w rycinie pochodzą z nad Donu, i są używane do konnicy nie regularnéj, znanéj pod nazwiskiem Dońskich kozaków. Wzrost ich nie wysoki, głowa w stósunku do wzrostu trochę za wielka, ale obok tego odznaczają się one muskularnością, zręcznością i hartem w pokonywaniu wszelkiego rodzaju niewygód.

W nieszczęśliwym odwrocie Napoleona I po kampanii 1812 r. wśród głodu i niezwykłego mrozu, jedni kozacy przetrwali i do końca nie przestali na wszystkich punktach niepokoić armią francuzką.

W powstaniach polskich z r. 1831, a mianowicie z r. 1863 głównie kozacy przyczyniali się do zwycięstw Moskwy. Konie ich zwinne, nie wymagające wygód ani dróg bitych, utrudniały powstańcom komunikacyę, dostawę żywności i zmuszały do bezustannego czuwania. Tatarska przebiegłość kozaków udzieliła się i koniom. Poszłuszny każdemu skinieniu jeźdzca, stać będzie na placówce, bez poruszenia godzin parę, a gdy potrzeba wymaga przedzierać się umie jak sarna przez zarośla i bagna. Krok ich lekki, zaledwie na bardzo bliską odległość oznajmia o zbliżającym się nieprzyjacielu. W nocnych podjazdach konie te z rzadkim instynktem kierować się umieją w nieznanéj sobie stronie.

Oddział kozacki wysłany na przeszpiegi, wśród najciemniejszéj nocy nie ukaże się nieprzyjacielowi od strony, w któréj siły główne mają stanowisko. Pojawienie się kozaków na tyłach prawie zawsze daje pewność, że nieprzyjaciel być musi z przodu. W tych trudnych wycieczkach, gdzie nie raz omijać muszą dwory, wioski i drogi, a przez pola, lasy, góry i bagna, kierować się ku celowi, koń porówno z jeźdzcem spryt swój rozwija i do najtrudniejszych warunków zawsze stósować się potrafi. Zalety te dają w armii rosyjskiéj kozackim koniom pierszeństwo przed innemi. Ciekawy jest widok z jakim zapałem biegą i jak sprężyste dają skoki te małe zwierzątka, pomimo że w stósunku ich wielkości wysmukły kozak z ciężkiem umontowaniem wydaje się nie proporcyonalnym. Na zimno i głód są one wytrwalsze od ras sobie pokrewnych. Wśród śnieżnéj zamieci pod gołym niebem, uwiązany do płotu, jak to rycina przedstawia, przestoi noc całą zadowolniając się garstkę siana, którą mu nie dbały kozak z łaski podrzuci. W dawnych granicacc Polski, tylko konie Naddnieprskich kozaków tym zaletom wyrównać mogą.

Stanisław Moniuszko.

Lat dziesiątek nie dawno minął, odkąd śmiało datować możemy nową epokę w muzyce dramatycznéj polskiéj. Twórcą jéj jest Stanisław Moniuszko, dzieło zaś, które postęp ten w sztuce wywołało, jest opera Halka, pomysłu Włodzimierza Wolskiego, poety. Z okoliczności zaś, że wieszcz nasz w roku bieżącym z dniem 5 maja kończy pół wieku, tém radośniéj pragniem uczcić chwilę ową w dwójnasób pomyślną — dla kompozytora jeszcze w sile wieku zostającego a w pracy niezmordowanego, życząc mu lat późnych, coraz plenniejszych dla nas, że muza jego tchnieniem swem serca nasze dotąd owiewa, budząc w nas coraz większe do muzyki zamiłowanie, postęp oraz podziw.

Stanisław Moniuszko, syn rodziców obywatelskich nader zacnych, rodem ze wsi Ubiel pod miasteczkiem Śmiłowice w gubernii mińskiéj, wcześnie już skłonności swe do muzyki, oraz niepospolite zdatności objawiał, które matka do roku siódmego udzielaniem lekcyi na fortepianie rozwijała. W dziecinie jeszcze, rozbudzał ojciec opowiadaniami z czasów minionych, roztwierał jéj świat przeszłości błogiéj z całém bogactwem piękna, a matka tuląc dziecię do łona wygłaszała śpiewy historyczne Niemcewicza, które pamięć znakomita dziecka, chciwie chwytała, tak, iż w 5 roku życia, wszelkie niemal jak najlepiéj recytował. Wiejskie zacisze pełne uroku, piosnki ludu, troskliwość rodzicielska nie mało téż wpływały na usposobienie chłopca. Nie miałże on wśród tak pomyślnych okoliczności już wcześnie zamarzyć tylko o kontuszowych czasach z powieści ojca żołnierza, nie miałże poczuć narodowych skłonności i odgadnąć tajemnych sił ducha narodowego muzy polskiéj, z pieśnią matki? Wyrazy i tony, zdania i melodye padały w serce Stanisława, jak ziarno na rolę żyzną i przynosiły owoc coraz bujniejszy, a radość i szczęście rodzicom. Z rokiem siódmym, kiedy już fantazya muzyczna w chłopcu rozkwitać zaczęła, rodzice dbając o jak najlepsze wykształcenie muzyczne, o podstawę silną a na całe życie ważną, wysłali syna do Augusta Treyera, organisty przy kościele ewangielickim w Warszawie, wirtuoza na organach, nadto kompozytora i nauczyciela znakomitego, u którego Stanisław kurs dwuletni odbył z największą korzyścią. Z końcem 1827 roku opuścił Warszawę, wrócił do domu, a oddany do gimnazyum w Mińsku, daléj się w muzyce kształcił u zacnego Dominika Stefanowicza, który dostrzegając w młodzieńcu wielkie a rzadkie zdolności obok niezłomnéj chęci i woli, do coraz



Konie z nad Donu.

większych postępów, tyle w końcu wpłynął na niego, że Stanisław całkiem muzyce oddać się postanowił, w czém mu rodzice żadnego oporu nie stawiali. Wysłano wtedy młodzieńca siedemnastoletniego do Berlina, oddając go w opiekę sławnemu naówczas kompozytorowi Rungenhagenowi dyrektora akademi śpiewu, u którego studiował Stanisław muzykę wyższą, zaprawiając się na najlepszych wzorach szkoły włoskiéj i niemieckiéj, mając właśnie pod bokiem jego jak najwięcéj sposobności. Doznawał nadto obejścia się ze strony nauczyciela prawdziwie ojcowskiego, który w niczém nie szczędził uwag i rad na korzyść ucznia. Po trzech latach gruntownéj nauki wrócił Moniuszko do Wilna i tam rozpoczął zawód swój kompozytorski, wpływając nadto pośród publiczności, jako nauczyciel muzyki przez dawanie lekcyi, które mu egzystencyą zapewniały. Wilno na długi czas pamiętać będzie pobyt Moniuszki, bo mu we względzie muzycznym cały swój postęp zawdzięcza. Kółko, jakie sobie nasz kompozytor swemi utworami, najczęściéj wybornie przez śpiewaka Bonoldi wykonanemi, zdobywał, rozszerzało się — miłośników coraz więcéj, bo pieśni jak strzały coraz daléj pędziły, zdobywając serca za muzyką swojską wytęsknione, a pojmowanie sztuki stawało się u publiczności coraz godniejsze, gdyż wzorami własnemi przewodniczył jéj mistrz niezrównany.

Ważniejsze utwory, jakiemi Moniuszko wówczas spragnioną publiczność prowincyi zaniemeńskiéj i zabużańskiéj, które najpierw za muzą jego się ubiegały, obdarzył, są: Hymn do Matki Boskiéj, trzy msze z towarzyszeniem organów, cztery litanie do Matki Boskiéj Ostrobramskiéj z chórami i orkiestrą, Widma do poematu Mickiewicza, Dziady, chór, orkiestra i deklamacya, Kantata Niola, Sielanka Jawnuta, przerobiona z opery Kniaźnina „Cyganie", cztery śpiewniki domowe, zawierające pieśni 75 treści na rozmaitszéj, i operetka „Loterya" do słów Oskara Milewskiego. Ostatnie to dzieło przedstawiono na scenie warszawskiéj poraz pierwszy w r. 1846 12 września, pod kierownictwem Moniuszki, i dano ją do konca września tego r. cztery razy, jednakże bez wszelkiego powodzenia, a autor zyskał tyle tylko że publiczności więcéj stał się znanym i że w tym właśnie czasie poznał się z Wł. Wolskim, który mu w krótce bardzo skreślił libretto do pamiętnéj opery „Halka." Do tekstu niezadługo Moniuszko wysnuł muzykę. Opera pierwotnie z dwóch aktów się składała, a wręczona wcześnie dyrekcyi teatru warszawskiego, długi bardzo czas czekała tejże zmiłowania. Tymczasem Moniuszko w Wilnie stworzył kantatę mitologiczną, Milda, z poematu Kraszewskiego Witolorauda i wystąpił z nią w koncertach w Petersburgu w r. 1849, doznawszy przyjęcia jak najchlubniejszego. Lat 11 mijało, aż wreszcie dyrekcya teatru warszawskiego uwiadomiła kompozytora o zamiarze przedstawienia „Halki." Moniuszko zjeżdża, a przeglądając ostatecznie dzieło z dokładnością i rozognioną fantazyą, postanawia operę powiększyć, na co się Wolski zgodził, wspierając kompozytora, tak, iż wnet z dwóch aktów powstały cztery, i téj spiesznéj zmianie nawet zawdzięczamy przecudną pieśń Jontka: „Szumią jodły na gór szczycie", ową perłę repertuaru śpiewnego, którą Moniuszko w jednéj szczęśliwéj zaiste chwili stworzył. Po należytych przygotowaniach naznaczono termin przedstawienia na 1 styczeń r. 1858. Operę przyjęto z zapałem dotąd niezwykłym, a publiczność wzruszona, stęskniona i ciekawa, nie mogąc doczekać się następnego jéj przedstawienia, co chwila żądała „Halki", tak iż w przeciągu lat dziesięciu dano operę blisko 200 razy, liczba na dziesięć lat ogromna, odnośnie do smutnych czasów i okoliczności, jakie naród podtenczas trapiły.

„Halka" stanowi więc niezaprzeczenie nową epokę i stała się od téj chwili, kamieniem węgielnym powodzenia autora, oraz bodźcem w dalszych pracach. Przypomnijmy tutaj z personału śpiewaków imiona Dobrskiego, Troszla, pannę Rivoli, których wyborna gra i śpiew pełen wdzięku za każdą razą porywał do uniesień prawdziwych, a pojmiem, że i dla kompozytora była to chwila bodaj najszczęśliwsza, a bez wątpienia pełna znaczenia i wpływu. Opera ta w wykonaniu, jakie mieliśmy sposobność po kilka razy słyszeć w Warszawie, na każdym nawet pierwszorzędnym teatrze odniosłaby zwycięstwo, mimo zarzuty, czasu swego jéj czynione co do treści nazbyt drażliwéj, niewzorowéj i jednostajności chórów, alеż na względy ostatnie bacząc, wyrozumieć i to wypada, że w sztuce pomysły zwykłe, powszednie niczém są, a chóry w „Halce" zastósowane do sytuacyi i całości.

Opera wspomniana pozbawiła Wilna mistrza i przewodnika, i sprawiła, że bez długich namysłów, Moniuszkę obrano dyrektorem pierwszym opery w miejsce Quattriniego, urząd i godność, które do dnia dzisiejszego piastuje ku ogólnemu zadowoleniu, odznaczając się w spełnianiu obowiązków sumiennością, łagodnością w obejściu się, oraz gorliwością.

Wieść o zapale z jakim „Halkę" przyjęto, sławę mistrza w kraju rodzinnym, wnet po całéj Europie rozniosła, dla tego wypadało Moniuszce tém bardziéj po 12 latach domowéj pracy, wychylić się poza krańce ziemi naszéj i poznajomić się ze światem muzycznym; że zaś na podróż artystyczną nie mało potrzeba funduszów, przeto wdzięczna a pamiętna zasług wieszcza, publiczność warszawska, zebrała się na koncert; z którego dochód 25,000 złp. na wspomniane cele przypadł autorowi „Halki". Moniuszko wyruszył z Warszawy w tym samym roku, zabierając jak najliczniejsze znajomości. Wspomnim tu tylko Meyerbeera, Liszta i Rossyniego. Zatrzymał się w podróży téj przydłuższy czas w Paryżu, jak najchlubniejsze dowody uznania wszędzie odbierając. Tutaj napisał operę „Flis" w 1 akcie do tekstu Bogusławskiego, którą jeszcze w r. 1858 we wrześniu przedstawiono w Warszawie. Opera Flis jest to obrazek z życia ludowego warszawskiego nader udatnie pochwycony a pełen życia i prawdy. Następne dzieło, jest opera „Hrabina" wpół komiczna, mieszcząca w sobie wiele nader pięknych ustępów, z których nie jeden, jak np. Polonez 3 aktu stał się popularnym. R. 1860 był pamiętny przedstawieniem poraz pierwszy wpomnianéj powyżéj sielanki Jawnuta, z czasów pobytu Moniuszki w Wilnie. R. zaś 1861 nową operą „Verbum nobile" do słów Chęcińskiego, napisaną na tle staro-szlacheckiego życia i obyczajów. W r. 1862 udał się Moniuszko powtórnie do Paryża, i tam wykończył operę 4 aktową „Straszny dwór" również w duchu szlacheckim a pomysłu Chęcińskiego. W wycieczkach owych duch mistrza nabrał sił nowych, wykształcił dawne, tak iż wróciwszy na grzędę domową, rozbudzony powodzeniem tém pomyślniéj czerpał ze skarbnicy muzyki narodowéj. Wyliczamy daléj operę „Rokiczana" do słów Korzeniowskiego, „Parja"*) ostatnia w całości dopiero wykonana roku zeszłego, Z pola muzyki instrumentalnéj „Baśń zimowa" uwertura fantastyczna i „Pani Twardowska" poemat symfoniczny na tle Ballady Mickiewicza (muzyka programowa), w końcu wokalno-instrumentalne a bardzo rozgłośne Sonety krymskie Mickiewicza. Posiadamy nadto kilka dzieł na fortepian jako walce, polki, polonezy, willanela, marsz pogrzebowy i elegię; jednakże dzieła te pomimo swych zalet są więcéj instrumentalne niźli fortepianowe. Na czas pobytu w Warszawie przypadają także piąty i szósty śpiewnik, i wiele innych mniejszych i większych pieśni, które różnych po wielu miastach polskich, nie wyłączając Poznania, znalazły nakładców. Pośród tych firma Gebethner i Wolff pierwsze dzierży miejsce, odznaczając się wydaniami w niczem nie ustępującemi zagranicznym.

*) Tragedya Delavigne'go a przerobiona z wielkiemi zmianami przez Chęcińskiego.

Tutaj wspomnim także, że w ostatnich trzech latach Moniuszko niektóre z swych dzieł, jako Dziady i Sonety przedstawił we Lwowie i Krakowie, doczekał się wykonania Halki z przekładem czeskim w Pradze, dyrygując osobiście. Ostatnim laurem było przyjęcie téjże w repertuar oper w Petersburgu r. 1865, a bardzo pomyślne przedstawienie, przed paru miesiącami nastąpiło.

Te są najważniejsze fakta z życia Stanisława Moniuszki. Kto zaś cofnie się pamięcią o lat 8, przypomni sobie opłakane stósunki w każdym względzie, jakie naród cały gnębiły, a na jednostki społeczeństwa naszego ciężarnie spadały, nie szczędząc dyrektora teatru, kto przejrzy choćby pobieżnie utwory naszego mistrza, zadziwić się musi niemało nad ogromem pracy, zamiłowaniem do niej i niczem niezachwianą wytrwałością wśród nieszczęść ogólnych, które wspólnie z wszystkimi podzielał. Znane niejednemu z czytelników są ograniczenia opery polskiéj; nie dosyć było wydawać tysiące na operę włoską, która coraz więcéj grosza pożera, by przez nią muza polska poszła w zapomnienie, niedosyć było oper polskich przedstawienia dozwalać tylko w miesiącach letnich, najniekorzystniejszych, jeszcze intrygi dyrektora cudzoziemca, psuły sprawę naszą, bo niechże się tylko zdarzyło, że opera polska nowa, więcéj słuchaczów ściągała niźli włoska, nie wachał się dyrektor Włoch, zanosić do intendenta zażalenia i wymódz na nim zakaz jéj przedstawienia. Spotkało to opery „Rokiczana“ i „Straszny dwor.“ Ileż to nieprzewidzianych przeszkód, ileż strat nie powetowanych! A przecież mistrz nasz niczem nieustraszony darzy nas bez przerwy, dzięki swéj muzie, tworami pełnemi życia i uroku, torując drogę w przyszłość coraz stałéj i pomyślniéj. W przeciągu 10 lat, złożył on oper 8 do skarbca muzyki narodowéj, to bez wątpienia świetne czasy dla nas, bo patrzmyż, ile ta publiczność warszawska poznała dzieł nowych przez lat 30, od r. 1830 do 1860. Przedstawiono w ogóle oper 57 przez kompozytorów 23, z których n. p. Donizetti był 9 operami zastąpiony, Auber 8, Verdi i Halevy 4, Meyerbeer 2, a opery najwięcéj ulubione były: „Niema z Portici“, „Robert Djabeł“, „Napój miłosny“, „Lunatyczka“, „Jezioro Wieszczek“, „Norma“, „Lucya z Lamermoor“, „Córka Regimentu“, „Marta“, „Ernani“, „Żydówka“, „Hugenoci“ — ostatnia w ciągu lat 2, dana 44 razy. Z 57 oper zaznaczyć tylko możem oper polskich 6, kompozytorów 4; Hrabia Weseliński (r. 1833) Brzowskiego, 2 razy dana, Kontrabandziści, Damsego (r. 1844), 3 razy, Loterya, Moniuszki (r. 1846), 4 razy, Halka, Flis (r. 1858), 8 razy przez lat 2, Król Pasterzy O. Kolberga (r. 1858), 4 razy. Z liczb więc, jako z całego repetoaru nie możem się zbyt szlachetnych dążności dopatrzyć, bo polskich oper dawano nader mało a zagraniczne były nowością, zawsze bardzo opóźnioną, dla tego dziwnem nam być nie powinno pewne zacofanie w muzyce czasowéj, wyobrażenia nieraz opaczne, smak nie szczególny. Zważmy, że opery jak Hugenoci, Żydówka, zawitały dopiero do Warszawy r. 1856, zanotujmy daléj, że opera Don Juan, Mozarta, dzieło pomnikowe, bez którego żaden nawet najmniejszy teatr zagranicą obejść się nie może, w Warszawie przedstawiana po pierwszy raz 1817 r. w przekładzie Brodzińskiego, do r. 1860 dana tylko 22 razy, że Dobrzyński doczekać się nie mógł wykonania „Flibustierów“, opery z r. 1845, a zrozumieym wreszcie wszelkie niekorzyści, jakich publiczność doznawała, i pojmiem dla czego Halka Moniuszki, opera pod każdym względem oryginalna z roku 1858 od razu przeobraziła publiczność.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

ODEZWA!

Nigdy Polki tam, gdzie chodziło o dobro narodu, nie pozostawały bezczynnie, zawsze towarzyszyły swym ojcom, braciom i mężom w usiłowaniach i trudach podjętych w około sprawy ojczystej.

Nie godzi się i dziś kobiecie-Polce stać na uboczy w onéj wielkiéj pracy, którą siły narodowości naszéj tylu klęskami rozstrojone, mają się pokrzepić i wzmódz ku dobru całéj ludzkości.

Mężowie, bracia i ojcowie nasi pracują w towarzystwach i zjazdach różnego rodzaju około dobra kraju; by zaś i przyszłe pokolenia pozyskać dla oświaty i cywilizacyi, związali się w Towarzystwa Naukowéj Pomocy, które ubogiéj młodzieży męzkiéj czynią przystępną naukę i wszelką umiejętność.

Dzisiaj nadeszła pora, aby dobrodziejstwa nauki i wiedzy uczynić także jak najprzystępniejszemi niewieście, o ile jéj tego dozwalają obowiązki przyrodzone, jakie przeznaczono jéj spełnić przy domowém ognisku, na łonie rodziny.

Żona czy matka — jest kobieta zarazem gospodynią domu, tak na wsi jak w mieście, przewodniczką całéj gałęzi gospodarstwa, która w czasie obecnych wynalazków i postępu wymaga, podobnie jak gałęzie gospodarstwa mężczyznie powierzone, nauki, wprawy i doświadczenia. I dla kobiet niezamężnych, otwarte są różne zawody, za pomocą których mogąc być użyteczne społeczeństwu, a do których potrzeba przygotowania umiejętnego i specyalnego. Do najszlachetniejszych należy nauczycielstwo, w szczególności zaś ta gałęź jego, która się zajmuje dziatwą najdrobniejszą. Tu kobieta jest w swoim żywiole i tu zdolna oddać niezmierne usługi narodowi.

Potrzeba założenia ochron po wsiach i miasteczkach naszych stała się dziś tym naglejszą, im więcéj zagraża nam wyparcie języka ojczystego ze szkół elementarnych. Lecz aby się wzmogła liczba ochronek w kraju naszym, trzeba postarać się dla nich o kierowniczki zręczne i świadome rzeczy, trzeba wykształcić zdolne ku temu kobiety.

Cele powyższe, a przed innemi ostatni, osięgnąć, ma być zadaniem mającego się założyć Towarzystwa Naukowéj Pomocy dla Dziewcząt Polskich. Niżéj podpisane zawiązały się w komitet tymczasowy, aby na zasadzie poniżéj zamieszczonych ustaw*) Towarzystwa wprowadzić w życie, i wzywają wszystkich dobréj woli, mianowicie kobiety-Polki, do wzięcia żywego i gorącego udziału w pracy w tym kierunku.

Nie prosimy o deklarowanie składek wysokich; owszém niechaj ofiary doroczne będą skromne, ale stałe; starajmy się tylko, aby liczba członków wynagrodziła mierną wysokość składek pojedyńczych.

Towarzystwo ogłosi się jako zawiązane i rozpocznie urzędownie czynność swoję, skoro przynajmniéj kilkadziesiąt członków będzie dlań zapewnionych i skoro pierwsze fundusze wpływać zaczną. Aby nie utrudniać początkowéj organizacyi, komitet niżéj podpisany pełnić będzie tymczasem obowiązki dyrekcyi aż do pierwszego walnego zebrania Towarzystwa.

Wszelkie korespondencye, spisy nazwisk i adresa przystępujących członków, jako też wszelkie składki przyjmuje p. dr. Rakowicz w Toruniu (Thorn WPr), który do pierwszego walnego zebrania pełnić będzie obowiązki sekretarza i głównego kasyera Towarzystwa.

Rodacy i Rodaczki! Nie chodzi nam o ślepe i bezmyślne naśladowanie zagranicy, daleką od nas myśl wyrwania kobiety z koła rodzinnego, z pod domowéj strzechy, daleką od nas wszelka chęć popierania bezrozumnéj emancypacyi, ale głębokie przekonanie, że płeć niewieścia ma prawo i obowiązek do nauki i pracy, że mianowicie kobieta-Polka nie powinna usuwać się od usiłowań szlachetnych, podejmowanych przez mężczyzn ku rozpowszechnieniu oświaty dla dobra kraju we wszystkich warstwach i stanach narodu, zachęciło nas i dodało nam odwagi do wystąpienia

*) Ustawy te w przyszłym numerze ogłosimy.

Przyp. Redakcyi.

publicznego z zaleceniem projektu, który niniejszym poddajemy rozwadze i przejęciu współobywatelek i współobywateli naszych.

Toruń, 24 lutego 1870 r.

Komitet tymczasowy:

z Szczanieckich Antonina Kalkstein. Z Doniemirskich H. Czarlińska. Z Slaskich Zofia Donimirska. Z Wolańskich Mal. Iłowiecka. Z Kalksteinów O. Mieczkowska. Z Winnickich M. Samplawska. Z Biernawskich Helena Slaska.

Przegląd zabaw, muzyki, teatru i malarstwa.

Gwar ostatków karnawałowych, nie pozwolił mi przesłać czytelnikom sprawozdania z ubiegłych zabaw, koncertów i teatru. Tem gorzéj... nie tylko dla czytelnika ale i dla sprawozdawcy, bo nawał przedmiotu ciśnie się do głowy i stawia go w położeniu, o którém mówi Francuz, l'embarras de richesse. Rzuciłem już nawet pióro, ale oto ktoś mi szepnął do ucha znane polskie przysłowie „lepiéj późno, niż nigdy" i to mię właśnie spowodowało do wykonania pierwotnego projektu.

Już od dawna karnawał skonał.. głowę popiołem posypano z sentencyą śmierć przypominającą, już od trzech tygodni po kościołach brzmią hymny żałobne, a dotąd jeszcze otrząsnąć się nie jesteśmy w stanie z tego szału, w jaki ostatnie dnie karnawału nas porwały. Bo też prawdę powiedziawszy bal dla mężczyzny a tém bardziéj dla kobiety jest tylko gimnastyką ciała, ale i gimnastyką ducha. Ile to w nim składa się nadziei, iluzyi... kombinacyi, strategii i już nie wiem czego!! O godzinie dziesiątéj sala zapełnia się.. wieniec różnobarwnych tunik coraz szerzéj opasuje przestronną salę, a szereg dzentelmeńskich fraków stoi u drzwi, jakby na straży tych skarbów, o których posiadaniu, zwykłym śmiertelnikom tylko marzyć wolno. Rzuć okiem... ile tam wdzięków, kokieteryi, próżności, fantazyi, podbojów, uczuć i spojrzeń gorących, krzyżuje się z sobą. Lecz oto znak dano... muzyka zagrzmiała... taniec rozpoczęto. Pary stają zwolna... nieśmiało, wahające się jak ptak lot swój rozpoczynając. Patrz... tam w pośrodku, w białéj jedwabnéj szacie stoi blada Ophelia... wysmukła talia giąć się zdaje pod każdym wiatru powiewem — oddech przyspieszony, pierś białą unosi, oczy życiem tryskają. Lecz niezatrzymuj się długo... bo oto Szekspirowska Julia, strojna pajęczą siatką koronek brukselskich mija przed twemi oczyma. Stanęła... przebiega okiem szereg swych wielbicieli,... kilku uśmiech posyła... wybranego słówkiem obdarzyła... a w końcu wyciąga rękę... młodzian ją schwycił i z nerwowym zapałem, w rycerskim mazurku przebiegł salę lotem błyskawicy. Ona płynie... biegnie, ulata ze szklistéj posadzki. Zmęczenie rumieńcem twarz oblało, wzrok rozognilo.. ale na Boga zdaje się upadać! Nie! silna ręka mężczyzny ją podtrzymała. Tu znowu nowy obraz każe ci o poprzednim zapomnieć... Ośmnaście wiosen, duże niebieskie oczy i biała, gładka sukienka, z białą lilią na głowie, tę postać kraszą. Tam cię porywa królewska majestatyczność Ophelii, tu zatrzymuje prostota i naiwność Zochny Tadeuszowéj.

A cóż dopiero kiedy ten Olimp, pod wpływem Strausowych melodyi, utworzy wieniec wirujący?!... Każda z bogiń pochwycona w objęcia tancerza, zdaje się omdlewać na silnem ramieniu jego, duszą zaś wznosić się w krainę po zaziemskich ideałów.... Tancerz ustał... lekkie ściśnienie ręki oznajmiło tancerce o potrzebie zebrania nowych sił do nowego szału. Upadła znużona na amarantowy szezląg.... pierś wznosi się i opada, a oko czarne szuka wśród tłumu tego, który przed chwilą może szepnął sakramentalne słowo „kocham!" Zaledwie błysk dwóch ócz skrzyżował się z sobą i znowu porwana, ginie w nieustającym wirze, a jeżeli na chwilę ukaże się w fali, to na to tylko, by znowu w niéj utonąć.

Lecz dosyć już teorytycznych spostrzeżeń — od teoryi przejdziemy do faktów. Karnawał tegoroczny nie należał do bardzo ożywionych. Rozpoczęliśmy go kuligami, bez śniegu i sanek, ot tak sobie dryndami, po miejsku, ze śgo. Marcina i z Garbar na na ulicę Berlińską. Nie mam wprawdzie prawa wdzierać nieproszony po zapróg gościnnych domów, gdy jednak kronikarz gazety toruńskiéj zdradził nienaruszalną tajemnicę życia prywatnego, powtarzam więc za nim, że w tych oryginalnych zabawach, cała inteligentniejsza publiczność Poznania wzięła udział, że się bawiono z niezwykłą Wielkopolanom ochotą, i że wśród masy piękności, królowały strojem i wdziękami Cyganki, Dianny, Krakowianki i Cerery. Po tych wulkanicznych wybuchach wesela, nastała długa cisza. Parę zabaw prywatnych, w kółku ściśnionym, upadający honor karnawału podtrzymało. Nie zaliczam bowiem dwóch improwizowanych wieczorków, po koncertach kółkowych do zabaw, któreby w kronice wesela miejsce zająć mogły. Nie odznaczyły się one ani ochoczością ani doborem towarzystwa. Mówię doborem, bo większa część obcą sobie była, co bezwątpienia na usposobienie bawiących się, wpływ wywierać musi

Z kolei wypada mi mówić o wielkim balu w hotelu Sterna, w którym jak mówią, tylko beau monde czyli świat piękny wziął udział. Przedtém nim mówić o balu będę, chcę protestować przeciw podziałowi świata na piękny i brzydki. Co do mnie świat nasz zarówno wydawał mi się pięknym jak w hotelu Sterna, tak i na sali Bazaru. Co więcéj twierdziłbym nawet, że świat po za obrębem tych obu miejsc, przewyższa je pięknością. Ma on zalety i wdzięki nie dla wszystkich widoczne, a tem bardziéj dla tych, których wzrok poza drzwi sali daléj nie sięga, i których jedyném zadaniem, jedyną umiejętnością jest uprawa woskowéj posadzki salonu. Gdyby to choć na tém polu celowano przymiotami. Widziałem i słyszałem zewsząd podnoszące się skargi, na brak towarzyskiego wykształcenia młodzieży. I rzeczywiście, zaginęła w niéj tradycya owéj staropolskiéj grzeczności, owego szacunku dla kobiet, owéj rycerskiéj z elegancyą połączonéj rubaszności. Dziś większość młodzieży w ułożeniu swoim przypomina sztywnych dzentelmenów angielskich, tresujących więcéj foll-bluty, niż siebie. Ale wróćmy do balu. Strojno, huczno i wesoło bawiono się do rana. Kilkadziesiąt par stanęło w mazurze, w którym nawet zakordonowa młodzież dość licznie reprezentowaną była. Ponętne bo też to nasze Księstwo! Więcéj w nim kapitałów i czystych hipotek, niż u naszych braci sąsiadów. Nic więc dziwnego, że pomimo trudności pasportowych chętnie do nas przybywają, i jeżeli się uda, nie jeden kwiatek z gleby Wielkopolskiéj (naturalnie z hipoteką) na piaszczyste równiny Mazowsza przesadzają. Baczność! młodzieży Wielkopolska.

Za balem o którym mówiliśmy, już w ostatnim tygodniu, zorganizowano bal na dochód budowy teatru narodowego. Powodzenie jego do miernych zaliczyć muszę, tembardziéj mając na względzie cel, dotykający bezpośrednio całe maleńkie społeczeństwo nasze. Liczba biorących udział w téj zabawie sto kilkadziesiąt osób wynosiła, a dochód po otrąceniu kosztów, przyniósł 260 talarów. Od Terpsychory moglibyśmy więcéj nieco wymagać, chociażby już tylko ze względów pokrewieństwa, jakie ją z Melpomena łączą. Głównie publiczność miejska na sobie winę tę dźwiga. Z miasta bowiem zaledwie kilka familii udział w téj zabawie wzięło, chociaż z drugiéj strony tłómaczy się to brakiem środków materyalnych, a zatém niemożnością konkurowania z bogatemi tualetami właścicielek wiejskich.

Pozostaje mi jeszcze wspomnieć o dwóch balach na cele dobroczynne i o balu danym przez Stowarzyszenie Młodych Kupców w Poznaniu. O ile dwa pierwsze odznaczały elegancyą, o tyle trzeci życiem i ochotą. Dochód dwóch bali na cele dobroczynne równał się mniéj więcéj dochodowi z balu na teatr, kiedy tualeta nie jednéj z dam przewyższała tę summę! O tempora o mores!

Bal kupców zwabił całą miejską publiczność. Co tylko miasto posiada inteligentnego, na polu nauki, handlu i przemysłu, stanęło na to oznaczone rendez-vous zabawy. Sześćdziesiąt par opasało wieńcem salę Bazarową, a ochoczy mazur zaledwie o godzinie 5 z rana skonał. Zabawa w któréj wyłącznie publiczność miejska udział wzięła, była pierwszą próbą towarzyskich sił miasta. Słyszałem z dwóch stron odzywające się głosy przeciwne podziałowi na publiczność wiejską i miejską. Stawiać zasadę podobną, byłoby w 19tym wieku, a tembardziéj w naszém wyjątkowem położeniu, niedorzecznością. Nikt jednak niezaprzeczy, że mimo woli dział taki stwarza się. Stósunki, zamożność, a nawet i zwyczaje dzielić muszą społeczeństwo, jeżeli nie z zasady, to z faktu. Dotąd publiczności wykształceńszéj miasta prawie nie mieliśmy. Dziś więc kiedy w rozmaitych gałęziach pracy społecznéj wyrabiać się ona zaczyna, dla czego nie miałaby sobie i w śród siebie stworzyć ogniska i szkoły życia towarzyskiego. Nie nagany, ale pochwały to godne, że i miasto zaczyna się poczuwać do samodzielności nie tylko na polu pracy ale i zabawy. Kto to wie czy za lat kilkanaście, tak w pracy inteligencyjnéj jak i zabawie, Poznań nie będzie prowincyi przewodniczył. Byłoby to naturalnem. Tam bowiem gdzie się praca koncentruje, koncentrować się winne wszystkie objawy życia społecznego.

Na tem kończę przegląd zabaw karnawałowych, opuściwszy w nich tylko parę nieszczęśliwych prób Kółka Towarzyskiego, które już prawie tradycyjnie powodzenia nie mają. (Dal. c. n.)

Szarada.

Pierwszy płynie w ciepłym kraju,
Co ma niebo jakby w raju.
Druga, trzecia jest osłoną,
Pewnych roślin i ochroną.
Pierwsza, trzecia różną bywa.
Trzecia wspak gdy się używa,
Miary Franeyi przypomina.
Wszysko zdobi chrześcianina.

(Rozwiązanie szarady w numerze 13: **Kartagina.**)

Korespondencya Redakcyi.

Panu L. W. pod Ostrowem. Gdyby wartość nadesłanéj nam pracy odpowiadała chęciom Pańskim, nie wahalibyśmy się zamieścić ją w Sobótce. Panu Edwardowi w Paryżu. Komedya Pańska zdradza prawdziwy talent. Żałujemy, że zakres naszego pisma nie pozwala na jéj wydrukowanie. — Panu Win. Sarnec. w Krakowie. Za pamięć dziękujemy. Rozprawkę historyczną otrzymaliśmy. Panu W. W. w Zachodnich Prusach. Przez poszanowanie popiołów Guttenberga, nie możemy wierszy Pańskich drukować.